

Tomasz Praszczalek - Moja muzyka zaczyna naprawdę żyć

Tomasz Praszczalek jest stypendystą Niemieckiej Rady Muzycznej (stypendium dla krytyka muzycznego). Ma 25 lat, a jego kompozycje były wielokrotnie nagradzane i wyróżniane. Wykonywano je, między innymi, na „Warszawskiej Jesieni” i na Festiwalu „Musica Polonica Nova”. Na scenie Opery Wrocławskiej odbyła się światowa prapremiera jego opery „Ester.”

Kiedy narodził się pomysł skomponowania opery „Ester”, co było impulsem, jak powstawała?

W 2000 roku wziąłem udział w I Międzynarodowym Konkursie dla Młodych Pianistów-Kompozytorów w St. Petersburgu. Często w podróży towarzyszy mi Biblia – tak było i tym razem. Wieczorem przed konkursem przeczytałem całą Księgę Ester. Na konkursie otrzymałem dwie nagrody (w tym za kompozycję) i – co było wspaniałym przeżyciem - wykonałem swój utwór na koncercie finałowym w petersburskiej filharmonii. Po koncercie spacerowałem po Petersburgu do siódmej rano – i to było jeszcze wspanialszym przeżyciem! Gdy dwa lata później ogłoszono trzeci konkurs – tym razem na operę kameralną, jednym z zaproponowanych librett była „Ester”. Nie miałem wątpliwości, że jest to znak dla mnie, że muszę tę operę napisać. Pierwszą scenę ukończyłem w sierpniu 2002 roku i wysłałem na konkurs (dwuetapowy). Gdy



okazało się, że przeszła do finału konkursu, ruszyłem z zapałem do dalszej pracy. Studiowałem wtedy na trzecim roku kompozycji w Poznaniu, ale wiedziałem, że jeśli chcę zmierzyć się z tak dużą formą, nie mogę jednocześnie codziennie chodzić na zajęcia i żyć normalnie. Musiałem skoncentrować się wyłącznie na pracy. W listopadzie pojechałem do rodziców i zaszyłem się u nich na cały miesiąc, oddając tylko komponowaniu. Pracuję głównie w nocy, więc na początku trudno im było zrozumieć, że ich śniadanie to moja kolacja, ale po kilku dniach się przyzwyczaili. Pracowałem bardzo intensywnie – spędzałem po kilkanaście godzin dziennie nad partyturą. Wtedy powstała też większość scen. Cały grudzień zajęło mi dokończenie opery, przepisywanie, poprawki. Terminem wysłania był 31 grudnia i dopiero tego dnia rano postawiłem ostatnie takty „na czysto”. Nie myślałem już o konkursie – byłem tak zajęty komponowaniem. To prawdziwy cud, że udało mi się zdążyć przed „deadline”. Latem 2005 roku – gdy już wiedziałem, że „Ester” zostanie wykonana we Wrocławiu – przejrzałem partyturę, dokonałem drobnych poprawek i nieco rozbudowałem scenę finałową.

Czy wysyłając ‘Ester’ na konkurs, liczył pan na sukces?

Wysyłając utwór na konkurs zawsze liczy się na sukces – inaczej po cóż by się to robiło? Oczywiście, liczyłem na sukces i szczerze mówiąc byłem rozczarowany, że moja opera dostała tylko wyróżnienie. Teraz mam dużo większy dystans do konkursów kompozytorskich, zresztą właściwie nie biorę już w nich udziału. Każdy regulamin ogranicza – obsadę, czas, to oczywiście konieczne, ale na dłuższą metę męczące. Na pewno są kompozytorzy, którzy do końca życia wysyłają utwory na konkursy. To nie moja droga, nie moje myślenie. Co z tego, że wygram konkurs? Od pewnego poziomu sztuka przestaje być dziedziną, w której można konkurować. Mnie interesuje właśnie taki i tylko taki poziom w sztuce, do niego dążę – bezkompromisowo. Poza tym nie wydaje mi się, żebym jeszcze potrzebował potwierdzenia w postaci nagrody. Własne utwory, które najbardziej cenię, nie zostały docenione na konkursach kompozytorskich. Mam nadzieję, że „Ester” jest tu wyjątkiem.

Czy myśli pan już o kolejnej operze?

Nie tylko myślę, ale jestem w trakcie jej komponowania. To „Ofelia” – liryczna opera kameralna do własnego libretta. Miała być wykonana w Krakowie podczas „Festiwalu Trzech Kobiet (Fedra, Elektra, Ofelia)”, do którego, niestety, nie doszło. Zacząłem pracę nad operą pod koniec 2003 roku, ale przerwałem, gdy odwołano wykonanie i w tej chwili mam gotowe trzy sceny z planowanych siedmiu. Ostatnio jednak znów przejrzałem partyturę i powoli wracam do świata „Ofelii”. To zupełnie inna opera niż „Ester”, bardziej skoncentrowana, melancholijna, prawie bez akcji – poza tym, co dzieje się w głowach bohaterów. Po śmierci trójki bohaterów szekspirowskiego „Hamleta” (Ofelia, Hamlet, Laertes), spotykają się oni znowu – snując po części nieodkryte możliwości wzajemnych zależności. Zainspirowała mnie m.in. przepięknie smutna historia trójkąta miłosnego z „Księgi Tysiąca i Jednej Nocy”. W planach mam jeszcze co najmniej dwie opery, do jednej nawet już gotowe libretto, (nad którym spędziłem z przyjacielem kilka lat), ale wciąż nie otrzymałem praw autorskich, więc na razie więcej nie zdradzam.

Jakie emocje towarzyszą panu przed premierą?

Wielka radość – przede wszystkim, że moja praca nie poszła na marne. Otrzymałem możliwość, o jakiej wielu twórców może tylko śnić, tym bardziej w moim wieku. Jestem bardzo wdzięczny pani dyrektor Ewie Michnik, że zainteresowała się moją operą i zdecydowała się na jej wykonanie. Cieszę się, że „Ester” będzie skonfrontowana w jednym wieczorze z „Hagith” Szymanowskiego. Gdy zobaczyłem pierwsze próby reżyserskie, poczułem, że w końcu moja muzyka zaczyna naprawdę żyć. Nie da się tego porównać z niczym, to niesamowite! Towarzyszy mi oczywiście także niepewność i zdenerwowanie – czy wszystko uda się tak, jak powinno. Ale radość z pewnością przeważa.

Nad czym pan teraz pracuje?

Nad pieśniami do słów Tadeusza Różewicza (głos z orkiestrą kameralną), które zamówiła u mnie pani dyrektor Ewa Michnik, przymierzam się także do skończenia „Ofelii”. Jak zwykle mam plany i pomysły, których realizacja zajmie dobrych kilkanaście lat. Długo by o nich wszystkich opowiadać...

Mieszka pan w Niemczech, zajmuje się komponowaniem i krytyką muzyczną. Czy da się pogodzić te dwie profesje?



Schumann genialnie godził obie profesje, więc dlaczego nie miałbym i ja tego spróbować? A poważnie – słowo było dla mnie zawsze bardzo ważne, nie wyobrażam sobie tygodnia bez przeczytanej książki. Pierwsze próby literackie przyszły przed kompozytorskimi – zawsze czułem potrzebę wyrażania się przez sztukę, a słowo wydawało mi się wtedy łatwiejszym środkiem. Pisanie krytyki daje mi możliwość chłodnego ujęcia sądu w słowa. To dużo trudniejsze, niż luźna dyskusja ze znajomymi po koncercie. I dużo większa odpowiedzialność. Wiele mnie to nauczyło – teraz nawet w rozmowie łatwiej znaleźć mi słowa, które odpowiednio oddają stan emocjonalny bądź intelektualny towarzyszący mi przeżywaniu sztuki. Pracowałem także jako krytyk teatralny (m.in. dwukrotnie przy festiwalu „Malta” w Poznaniu) dla „Rzeczpospolitej”, to wspaniałe doświadczenie, które dało mi dużą świadomość i wyrobiło wrażliwość na różne sposoby mówienia o świecie. Wzbogaca mnie to jako człowieka, a więc także jako kompozytora. Wciąż jestem głodny świata i myślę, że głód ten nigdy nie zostanie zaspokojony.



© Elżbieta Szczucka
atutpress@neostrada.pl